ROK II. NR 27. CENA N-RU 90 FEN. — K 1·50 6 LIPCA 1919

SZCZUTEK

STANDARD OIL COMPAGNY



— Już dość długo bawiłeś się brudasie! Nie dla psa kiełbasa!

18./I. 1871 — 28./VI. 1919.

Przeminie rychło wieku pół,
Gdy Otto Bismark zbrojny w stal,
W Paryżu pięścią walnął w stół
I rzekł: *O Jungens, schenk' ich euch*
Das heilige deutsche Kaiserreich
Von Bismark Otto, zbrojny w stal,
Piramidal!

Dziś jest inaczej, *ganz und gar!*
Kto do wersalskich przyszedł sal,
Uznać francuską „Victoire“?
Es jammert etwas immer stiller,
Nie Bismark — ale Hermann Müller
Dziś do wersalskich przyszedł sal!
Piramidal!

Tel.

Nie igrajcie z ogniem!

Mam przyjaciela, który jest członkiem komitetu dla zwalczania lichwy i ma manię, niegroźną na razie, ale mogącą spowodować nieopisane klęski społeczne w przyszłości. Manią tą jest żądanie aresztowania wszystkich paskarzy, łapowników, złodziei publicznego grosza i tym podobnych budowniczych przyszłości narodu. Przyjaciel mój tak dalece ulega tej manii, że żądanie swoje wypowiada głośno wszędzie prywatnie i publicznie, przemyca je do prasy — słowem, prowadzi poprostu propagandę w tym kierunku.

Na nieszczęście propaganda ta zaczyna znajdować zwolenników. Ośmieleni nią t. zw. ludzie uczciwi występować zaczynają głośno i jaskrawie z projektami różnych represyj wobec wszystkich bez wyjątku paskarzy itd. nie zdając sobie sprawy z tego, że sami odrąbują gałęź, na której dotąd jako tako siedzą.

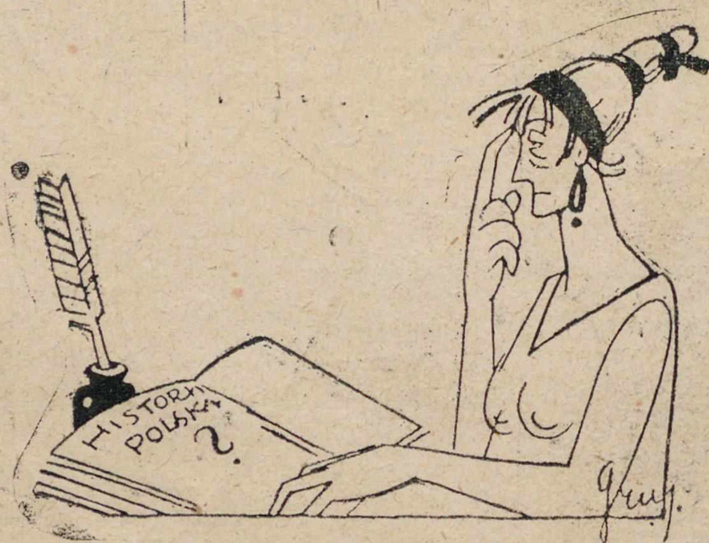
Bo zastanówmy się, coby się stało gdyby chciano wprowadzić w życie te projekty. Niechby tak jakieś nierozumne ministeryum sprawiedliwości w Polsce wydało naraz rozkaz aresztowania wszystkich ludzi nieuczciwych. Nie mówię już o tem, że w każdym urzędzie odnośnym wypadłoby jednemu człowiekowi (a w najlepszym razie dwom ludziom) aresztować wszystkich swoich kolegów, podwładnych i przełożonych. Wystąpiłaby jednak na jaw także druga konsekwencya nierozumnego zarządzenia. Oto złodzieje, łapownicy, paskarze spostrzegliby się wreszcie i uświadomili sobie, że stanowią olbrzymią większość i że nie oni, ale właśnie t. zw. ludzie uczciwi są obecnie tylko tolerowani w społeczeństwie.

Ewentualnych następstw tego uświadomienia masowego t. zw. lotrów nie trudno przewidzieć. Rozkaz zostałby odwrócony — na całym obszarze Polski aresztowanoby nieliczną zresztą gromadkę t. zw. uczciwych, którychby zresztą można także ogłosić za waryatów, i osadzonoby ich w więzieniach, skąd wypuściłoby się na wolność niesłusznie tam dotąd więzionych przedstawicieli zdrowej, normalnej większości społeczeństwa.

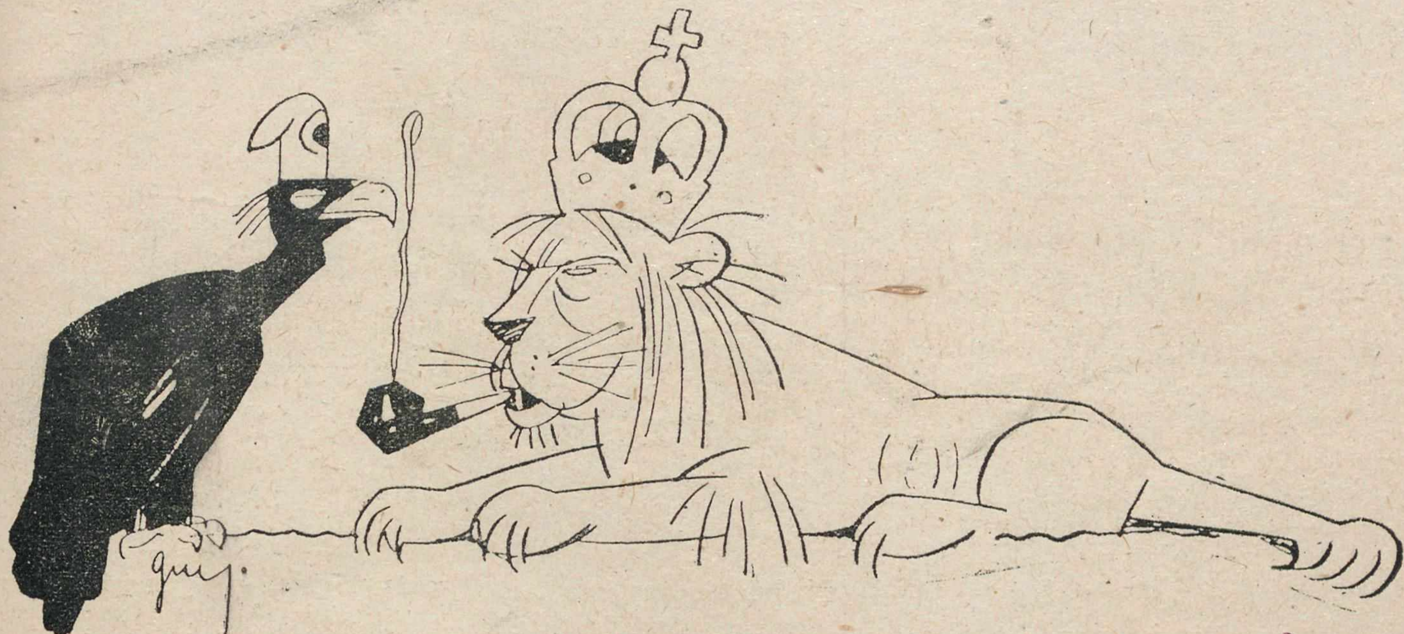
Zatem, przyjacielu mój, maniaku nieszczęsny i wy wszyscy, t. zw. ludzie uczciwi na wszelkich stanowiskach, zaklinam was! Nie igrajcie z ogniem! Opamiętajcie się póki czas i dajcie spokój nierozumnej propagandzie i akcyi. Nie prowokujcie większości! Nie prowadźcie siebie i społeczeństwa do katastrofy i przedwczesnego przewrotu! Uświadomcie sobie, że tylko konwenansowemu nieporozumieniu zawdzięczacie dotąd swoją niezbyt sytą lecz bądź co bądź swobodną egzystencyę. Szanujcie pozory, a będzie wam dobrze na świecie. Jeśli je bowiem szanować będziecie, z czasem zatrze się różnica między wami i normalną większością społeczeństwa, które w ten sposób bez gwałtownych wstrząśnień dojdzie do ideału jednolitości, harmonii i zgody.

St. M.

TROSKI HISTORYI.



— **Nie wiem od kogo zacząć? czy od — bandytów czy od — bohaterów.**



JOSE MARIA IBANEZ Y CASTRO
(AJZYK BLUMENTAL)

WCZESNE LATO

(Z cyklu liryk).

1. Rewia kwietna.

O, jabłonko kwitnąca! O, gruszko! O, wiśnio!
O, czereśnio! O, taki różowy kasztanie!
O, jaśminie, pachnący bardzo niesłychanie
w ogrodzie, gdzie poezye prześliczne się mi śnią...

O, wonne, o, miluchne, o słodkie, o wdzięczne
kwiatuszki, od zapachu których prawie mdli mnie —
jak to jest nadzwyczajnie, że po zimy zimnie,
letnie lato otwiera kredyty miesięczne...

Jak to jest nadzwyczajnie, że mój raglan wisi
w naftalinie, podczas gdy spaceruję w saku —
— Jose Maria Ibanez y Castro! — Chłopaku!
— Jutro się każesz ochrzcić dla swojej Marysi!

2. Późne jaskółki.

— Co to jest? Dlaczego tak? Te ptaszki...? Jaskółki...?
W czerwcu? Już lepiej w styczniu... Jak jakie rybitwe...
— Lecą... Fruwają sobie... Fruwają do spółki...
Już wiem. One zrobiły sobie taką bitwę...

— Jaskółki... Jaskółeczki... Wyście są bezstronne...!
Późno, późno lecicie, żebym był tak zdrowy....
— Rozumiem was! Jesteście wy starozakonne:
Wy boicie się latać w ten kraj pogromowy...?

3. Melancholia.

— Jaka to jest wielka szkoda,
że tak płynie sobie woda,
że tak płynie
przy tym młynie
gdzie się dawniej mełło zboże...
— Jaka to jest wielka szkoda,
że się wody mleć nie może!

Wspaniałomyślność

Ministeryum spraw zagranicznych otrzymało z Paryża następujący komunikat: w celu zabezpieczenia życia i mienia spokojnych mieszkańców przedmieść Warszawy, Poznania, Krakowa i Lwowa Rada najwyższa państw sprzymierzonych upoważnia Polskę do poczynienia odpowiednich zarządzeń. Nie przesądza to jednak w niczem decyzyi, jaką poweźmie później Rada celem ustalenia przyszłości politycznej tych przedmieść.

Nasza dyplomacya odpowie — rzecz prosta — milczeniem. Wszystko robi ten, kto ma nóż na gardle. My tu jednak odpowiedzieć możemy nie uznanym wprawdzie dotychczas przez Akademię francuską, tem niemniej wybornym, iście francuskim zwrotem:

et ta soeur!

Szczęsnß

Suwerenny sejm czuwa...

Jak się dowiaduje korespondent „Szczutka“, w najbliższym czasie będą wniesione w sejmie warszawskim następujące interpelacye

Posła *Gdyka* i towarzyszy w sprawie błędów militarnych, popełnianych przez komendanta Pilsudskiego i całe dowództwo naczelne armii polskiej przy operacyach strategicznych na wschodzie i na zachodzie;

Posła *Daszyńskiego* i tow. w sprawie błędów liturgicznych, popełnianyc przy odprawianiu mszy przez kapłanów katolickich w wielu dyecezyach w Polsce.

Posła *Padło* i tow. w sprawie błędów naukowych, popełnianych przy wykładach przez profesorów uniwersytetu warszawskiego, lwowskiego i krakowskiego.

* *

Między panienkami

— Wiesz Maniu, mój narzeczony jest oficerem liniowym.

— A mój to niby nie? Przecież on przez dzień cały łazi po „linii A—B“.

Ze Lwowa

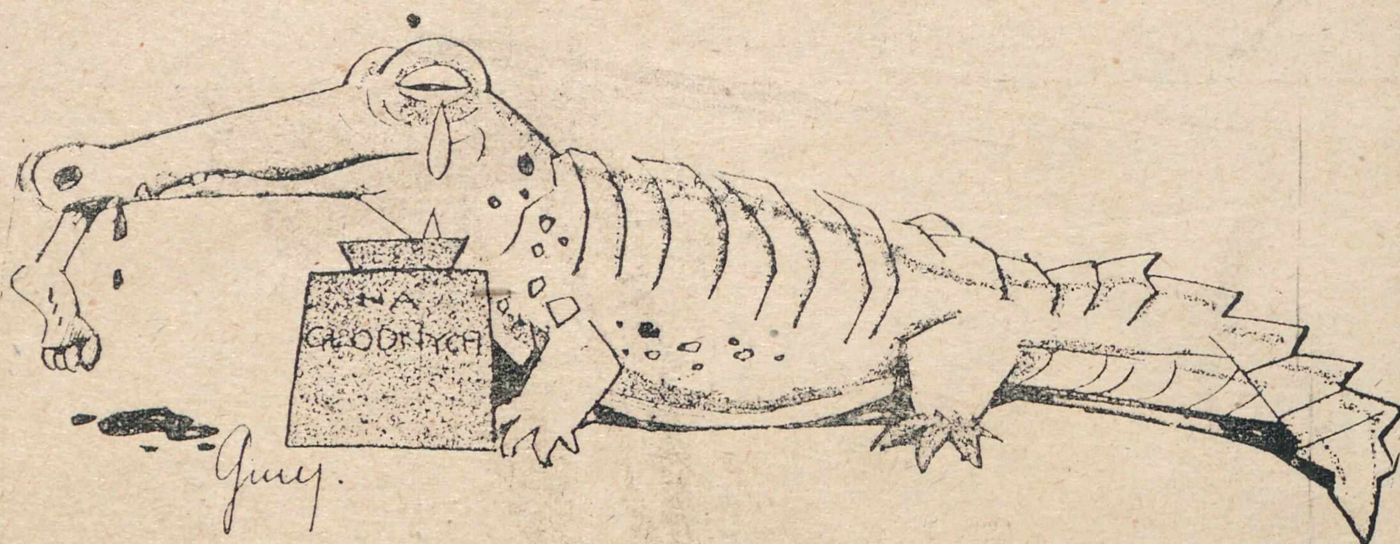
Dawniej panny starały się o piękny *lok*, teraz chcą być w L. O. K. (legia och. kobiet). Ale nie wszystkie tylko niektóre.

Przykry sen

Lloyd George budzi się drżący, oblany zimnym potem. Kamerdyner zaufany, przynosząc mu kakao z „cakes“ pyta wylękniony:

— Sir, jak zdrowie?

— Goddam, Dick, śniło mi się, że moje postulaty równouprawnienia ras w Polsce zostały zastosowane *w naszych koloniach!...*



W gęsich łapkach

Niemcy podpisali, ale czy *dotrzymają?* Dotrzymają, jeżeli się ich *przytrzyma.* Wogóle pokój zawsze *trzyma* z tym, kto mocniej *trzyma* miecz w ręku. Zresztą koalicya jest dość bogata, aby wziąć pokój na *stałe utrzymanie.*

Z dziedziny wyższej matematyki

Jeżeli każdy jeden paskarz w Polsce ma otrzymać tylko 25 kijów, ile morgów lasu potrzeba będzie dla dokładnego przeprowadzenia tej egzekucyi?

* *

Polska + X = 0

Czechy + X = ∞ (liczba nieskończenie wielka)

Rozwiążcie, co to jest X?

(Koalicya)

W pokoju dziecinnym

Córeczka pyta ojca:

— Tatusiu, czy w Anglii są paskarze?

— Są dziecinko, wszędzie są źli ludzie...

— A czemu o nich nic nie piszą?

— Bo to są nasi sprzymierzeńcy...

— Kto, tatusiu, Anglicy, czy paskarze?

Na froncie czeskim

Pan Kugelschwanz czyta o zwycięstwach Węgrów bolszewickich nad Czechami:

— Nu, nareszcie znalazły się wojski, które uciekają przed żydami!

* *

Pa czesku „zachowanie się“ brzmi „chovani se“. Bardzo to dobrze brzmi przy odznaczeniach w czeskiem wojsku „za waleczne chowanie się przed nieprzyjacielem“.

* *

Niebezpieczny sen

W „Echu zakopańskiem“ grono pedagogów „nauczycieli gimnazyów prywatnych“ zamieszcza protest przeciwko p. Irenie Solskiej, artystce teatru miejskiego z Krakowa, która demoralizuje Zakopane różnemi przedstawieniami, „zwłaszcza“ zaś sztuką Smithsa pt. „Tylko sen“.

Zauważamy ze swej strony, że dopóki p. Solska demoralizuje zakopańskich pedagogów „tylko snem“, niebezpieczeństwo może nie jest jeszcze tak wielkie.

Zmartwienie krakowskiego polityka

Nieraz myślę nad tem, co też otrzyma *Portugalia* za udział w wojnie światowej?

Z rozmyślań hrabiego Zdzisia

...Paskarze już się ubierają u naszych krawców, stroją się w nasze familijne brylanty kupione na licytacyach, meblują się antykami, których my w części musielibyśmy się pozbyć, jeżdżą powozami i końmi z naszych stajen. Obecnie, od pierwszego wypowiedziano nam tytuły rodowe w Polsce. Czemże my się teraz będziemy różnić od — paskarzy? Czyżby naprawdę przyszła na nas pora wziąć się do uczciwej pracy?...

Zadanie domowe ośmioletniego Cesia

— Napiszę wszystko, co wiem o oczach:

Każdy człowiek ma dwoje oczu. Mój stryj ma jedno oko prawdziwe, drugie szklanne. Oczy służą do patrzenia.

Chociaż oko jest małe, jest w niem dużo miejsca, gdyż mojej siostrze Andzi „wpadł“ wczoraj „w oko“ na plantach jeden oficer od konnicy. Mamusia jest z tego niezadowoloną, bo do Andzi „robi oko“ jeden bogaty adwokat.

Mój tatuś grał raz w karty z dwoma panami i miał „na ręku“ „oko“, ale tatuś bardzo się zirytował bo drugi pan zrobił „perskie oko“, pokazał „oko-trzysta“ i zabrał pieniądze.

Na wojnie strzela się granatami, na plantach oczami. Gdy komu na plantach za gorąco idzie do Hawełki na „oko“.

„Oczka“ pływają na rosole — z jaj się robi „oczka“ na kolacyę.

Z oka mamy wiele korzyści:

Pańskie oko służy do tuczenia koni — nasz konik jest chudy, bo je siano. Oko Opatrzności służy do oznaczania aptek, a rysuje je się w trójkącie. W Tatrach jest „Morskie Oko“ — służy do łódkowania.

Mój brat Doluś mówi do swej znajomej, panny Mani: „moje Ty Oczko“, ale tylko wtedy, gdy nikt nie słyszy.

Oko znajdujemy w następujących słowach: *oko*lica, *oko*wita, *oko*py, *oko*liczność i ks. *oko*ń.

Gdy komu wpadnie co do oka, obciera oko chustką do... nosa.

Kochany Szczutku!

W myśl rozkazu Naczelnika Państwa, wszyscy oficerowie i żołnierze wojsk polskich, bez różnicy w jakiej armii służyli, mają za zasługi w walkach siedmiomiesięcznych z wrogiem założyć pasek na kołnierzu.

Wielu oficerów intendantury nie zastosowało się do tego rozporządzenia, twierdząc z oburzeniem, że nie mają nic wspólnego *„z paskiem“*.

WIELKI DZIEŃ W WERSALU



Herman Müller podpisuje czyli jeszcze jedno krzywoprzysięstwo

Z PAMIĘTNIKA NIEDOSZŁEGO SAMOBÓJCY

Rozdział I.

Jak chciałem zostać urzędnikiem Rzeczypospolitej

— Jakto — pyta radca Dadek — pan uciekł przed Moskalami? Ach, to aktywista. Bardzo mi przykro, ale obecnie aktywistów nie bierzemy no urzędników.

— Ależ panie radco! — ja w czasie wojny nic nie robiłem i od urodzenia byłem pasywistą.

Radca skrzywił się i odrzekł:

— Pan się nie oryentuje w pojęciach politycznych, a to nie jest, kochany panie, dobrą rekomendacyą dla urzędnika ministerstwa spraw wewnętrznych, nie, nie mój panie.

W tej chwili zadzwonił telefon. Radca chwycił za słuchawkę:

— Hallo — tak to ja — ach serdecznie dziękuję. Więc mogę liczyć na ten węgiel. Bardzo, bardzo obowiązany. Ale panie drogi, trochę cukru jeszcze. No, no, jak pan zechce, to pan wytrzaśnie... Napewno. Sprawa Greczyńskiego? Proszę być spokojnym, będzie załatwiona. Miejsce się znajdzie, znajdzie. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę.

— Widzi pan — rzekł — wciąż interesy. Człowiek zawalony robotą. Niech pan złoży podanie, nie obiecuję, ale może. No, żegnam pana.

Złożyłem podanie, czekałem miesiąc, ale posady nie dostałem.

A tu kończyły mi się już korony, bo koroniarzowi, jak nas Galicyan w Królestwie nazywają, ciężko wyżyć w markach.

Chodzę tedy po Warszawie, oglądam przyjazd jednej misyi, drugiej misyi, wreszcie samego Paderewskiego, ale posady jak nie ma tak niema.

Aż ktoś mi poradził, żebym poszedł do ministeryum aprowizacyi.

Idę. Czytam na jednych drzwiach: Starszy referent Tucek. Miałem kiedyś kolegę tego nazwiska. Myślę sobie, spróbować nie zaszkodzi. Pukam. Wchodzę. Pan starszy referent był sam. Okazały, jowialny, wąsaty. Dobrze mu patrzyło z oczu.

— Ha, ha — zaśmiał się pan Tucek — no, siadaj pan, ale jeśli myślisz, że przy tak skromnem nazwisku będzie cię mniej kosztowało, to się mylisz. Ha, ha.

Cóż było robić?... Poszedłem.

Wychodząc, zetknąłem się na korytarzu z dwoma panami, z których jeden widocznie podniecony, krzyczał:

— Jeszcze jedno ministeryum aprowizacyi, a wszyscy zdechniemy z głodu.

Słowa te wyrwały mnie z głębokiej konfuzyi i uświadomiły w tem, że jednak jestem bardzo głodny. Uczucie głodu spotęgowało się, gdym przyjrzał się w najbliższem oknie wystawowem. Wyglądałem kropla w kroplę jak „nędza Galicyi w cyfrach“ p. Szczepanowskiego. Powiadam w cyfrach, ponieważ i mój portfel dzierżył bardzo skromne ostatki koron.

Przekąsiłem co nieco, by móc dalej chodzić i poszedłem do ministeryum pracy. Radził mi wprawdzie ktoś ministeryum zdrowia, szczęścia i wszystkich pomyślności, jak tu mówią, ale wygląd mój byłby tam niezawodną przeszkodą. Więc poszedłem do ministeryum pracy. Tam dotarłem szczęśliwie do szefa wydziału Dra Cupki. Bardzo miły, łysy i wesoły człowiek. Poklepał mnie po ramieniu, brzuchu i posadził na kanapie.

— Posady pan szukasz — rzekł — Ho, ho. U nas trudno. Ale nie martw się pan. Polska rośnie jak na drożdżach. Znajdę coś i dla pana, jak ententa przyzna nam Gdańsk. Złóż pan podanie i do widzenia.

Jeszcze raz poklepał mnie po ramieniu i po brzuchu i wyprawił.

Smętnie zadumany o dostępie Polski do morza, wlokłem się ulicami, gdy wtem potrącił mnie jakiś wojskowy.

— Pyłek, jak się masz? Co tu robisz?

Był to mój kolega z oślej ławki, obecnie major sztabowy z wojska austryackiego, Matoszek.

— Jak się masz? — powiadam. — A co ty robisz?

— Przeniosłem się do polskiego sztabu.

—

DYRDYMAŁKI

Wiemy, jakie ma przykrości nasz dzielny magistrat (wronowski), dzielny, przewidujący, pełny poświęcenia, naczynie przedziwne, z którego kapią malmazyje pod postacią mąki, węgla, krup, nafty, tytoniu i innych smakołyków, wszystko to w ogromnych ilościach i z iście polską punktualnością. Byłoby podlizywaniem się, gdybym części zasług nie przypisał ministeryum wygładzania i ministeryum komunikacyi lądowych, powietrznych i wodnych. A jednak są pretensye i to wyłącznie do magistratu. Powód? Błahy. Oto Wronów nie dostaje cukru „raptem“ od dwóch miesięcy. I cóż? Przecież był czas, że ludzkość cukru wogóle nie dostawała, a nikt żadnemu magistratowi nie sobaczył. Ale ludzie umieli sobie radzić i gdyby — rzecz najważniejsza — kultura u nas stała na wyższym szczeblu... ktoż to napisał:

gdy cię w usta pocałuję,
trzy dni w ustach cukier czuję.

Nasz Kochanowski, i gdybyśmy znali, czytywali Kochanowskiego ...naturalnie, czytelnicy „Szczutka“ (najinteligentniejsza część społeczeństwa, które — jak twierdzi pan Choloniewski — jest szczytem wszystkich doskonałości — ot: cukier!) zrozumieli w lot, co się w tem mieści. Rzecz prosta, nie chodzi o to, by którykolwiek z dygnitarzy magistrackich siadywał przez kilka godzin na rynku i by go ludność — popijając herbatę — całowała w buzię. Trzeba wydelegować batalion ładnych panienek, grubo płatnych (bo cóż te korony warte? pół centyma, jak utrzymuje minister skarbu, Karpiński), które pełnić będą funkcyę osładzania życia ludności — płci męskiej. Ale! ale! równouprawnienie! Kobiety gotowe mnie zakatrupić! A więc batalion przystojnych chłopców, grubo płatnych (bo cóż te korony warte? ćwierć centyma, jak twierdzi dbały o finanse Glodomeryi, tego polskiego kopciuszka, który w swym pantofelku niesie „tylko“ węgiel, sól i naftę — minister Karpiński), którzy pełnić będą funkcyę osładzania życia ludności płci żeńskiej. U żłobu państwowego stoją setki tysięcy, mniej lub więcej, ukwalifikowanych (podobno przeważnie mniej) — urzędników. Trochę mniej, trochę więcej — raz kozie śmierć, czyli jakoś to będzie. Jeżeli Polska ma być nie po to, byśmy na niej robili interesy... mówią trzeźwe polaczki — Bogu dzięki już są takie! Czytały Krasińskiego i właściwie poetę zrozumiały:

pod błękity
rzuć granity!

Zacofani romantycy wykrzykują na trzeźwych polaczków, które się zawsze ślicznie oryentowały, bądźto

— A ja szukam posady i nie mogę znaleść.

— Gdzie?

Opowiedziałem mu moją Odyseję. Roześmiał się i rzekł:

— Przyjdź do mnie jutro, a zatelefonuję do przyjaciół w tych ministeryach i z pewnością coś dostaniesz.

Wsiadł do tramwaju i pojechał. Na drugi dzień wczesnym rankiem, walę na plac Saski, do dawnej komendantury pruskiej.

— Dokąd? — pyta żołnierz.

— Do majora Matoszka w sztabie.

— To po drugiej stronie placu.

Idę. Tam odsyłają mnie po przepustkę do komendantury. Wracam. Dymam na I. piętro, płacę na przepustkę 20 fen. i znowu wędruję na drugą stronę placu. Wpuszczają. Każą iść z piętra na piętro. Wreszcie odsyłają do innego budynku. Ale tam dowiaduję się, iż major przeniesiony został na zamek, do ministeryum. Idę na zamek. Majora niema, bo jeszcze pomieszczenia na jego biuro nie wyznaczono. Chcę wyjść z zamku, warta nie puszcza.

— Gdzie przepustka?

Odsyłają po przypustkę. Wydał mi ją jakiś sierżant. Na drugi dzień znowu szukam Matoszka. Niema. Znowu przepustka. Tym razem wydaje ją jakiś podporucznik. Trzeciego dnia to samo, z tą różnicą, że przepustkę wydawał już porucznik i to Dowborczyk.

Ale czwartego dnia sprzyjało mi szczęście. Idę Nowym Światem, patrzę zbiegowisko. Automobil wojskowy przejechał dwoje osób i wpadł na tramwaj. Kto w automobilu? Matoszek! Poznał mnie i zawiózł do siebie, do ministeryum.

Poszedł telefonować. A ja czekałem w biurze. Siedział tam za stołem ten sam porucznik Dowborczyk co mi wydał wczoraj przepustkę i rachował coś zawzięcie. Potem wybiegł. Za pół godziny wraca i kręci się niespokojnie.

Wchodzi Matoszek.

— No i cóż, panie poruczniku? Kiedy załadujemy tych 36 koni?

— Panie majorze, będzie trudno, bo trzeba to rozłożyć na dwa pociągi.

— Jakto? Dlaczego?

— Bo pociąg może najwyżej liczyć 40 wagonów, a nam potrzeba 51 wagonów.

— Czyś pan oszalał?! Na 36 koni potrzebujesz pan 51 wagonów!?

— Kiedy tak wypada z rachunku.

— Jakim cudem? Przecież 6 koni idzie na jeden wagon.

— Właśnie. Tak też liczyłem. 6 w trzydziestu 5, 6 w sześciu 1 daje razem 51*).

*) Rachunek autentyczny tak wyglądał:

36 : 6 = 51
30
6

Matoszek nic nie odpowiedział, tylko splunął i rzekł:

— Zażądaj pan 6 wagonów i dość gadania.

Ami

C. d. n.

Ze stylistyki krakowskiej

W kronice miejscowej jednego z dzienników krakowskich kilka dni temu przeczytaliśmy następującą dosłownie notatkę aktualną: „Wczoraj pod wieczór wezwano pogotowie ratunkowe do kobiety, która zemdlała *na ogonku* z wyczerpania...“

Jak zwięzłość, to zwięzłość: mamy tu próbkę stylu prawdziwie lakonicznego, któregoby się jednak prawdziwy Spartanin napewno — zawstydził.



w polityce, bądź w handlu (polityka jest często poprostu handlem i to ...mięsem ludzkiem) „Paskarz!“ „Paskarz!“ Więc paskarz! czyli człek trzeźwy. Kto sam nie może, drugiemu wymyśla. Zdjąć maskę z obłudników!

Alem się zagalopował... O czem to? aha! Cukier. Otóż dzielny magistrat wyczytał 26-go czerwca następującą depeszę dzielnej PAT: „Odcinek frontu galicyjskiego, na którym znajdował się Naczelnik państwa, ostrzeliwali Ukraińcy *pociskami*.

Mądrej głowie dość po słowie. Wyjątkowo ostrzeliwali pociskami. A więc czem ostrzeliwali dotychczas? Bo przecie nie strzelali ślepymi nabojami! Prócz tego prasa donosiła wciąż o ogromnej ilości wagonów wypełnionych cukrem znajdujących się w Galicyi wschodniej. Chodziło tylko o logiczne powiązanie faktów, o logiczne myślenie. W tem jesteśmy mistrzami. Wszak, by nas Austrya „rozbierać“ mogła, należało dołożyć starań, by w epoce rozbiorów — istniała. I z tego to powodu, by jej przypadkiem dyabli nie wzięli, ratowaliśmy ją pod wodzą króla Jana. Tytuł przedewszystkiem: przedmurze chrześcijaństwa! Jak to brzmi! Korzyści rzeczywiste? Nagwizdać! Naród dżentelmenów pogardza korzyścią realną! Drą z nas pasy, oszukują — my nic! Wkrótce odbędzie się wspaniały raut na cześć biskupów Eulogiusza i Antoniusza, którym śliczną wiledziaturę urządzamy na uroczych Bielanach. A że dżentlmenerya, posunięta do absurdu — bywa — w dziedzinie polityki zbrodnią, tak jak lekkomyślność, patentem na kretynizm — tego nikt nie pojmuje.

Alem się zagalopował... więc cukier. Otóż magistrat doszedł do przekonania, iż Ukraińcy strzelali... cukrem, naturalnie twardym, kostkowym Rozpoczęto więc układy i tym razem doszły one do skutku. Wilk syty i koza cała. Magistrat oddaje Ukraińcom Galicyę po... Wieliczkę (bez żupnika Barącza i jego zbiorów) ci zaś obowiązują się gelić do Wronowa z dalekonośnych dział, nabitych cukrem, tak, by każda rodzina w każdym domu, przez wybitą szybę otrzymała co godzinę kilogram. I to ma trwać do stycznia O dobrej wierze Ukraińców, tak jak o bezstronności renegata-polity Szeptiuka, wnuka naszego Fredry i czciciela Gonty i Żeleźniaka (istny bigos hultajski!) nikt nie wątpi.

Ciesz się ludności Wronowa: życie twe słodkiem się stanie, a dżentlmeńska polityka święcić będzie nowy tryumf.

Uwaga: W poprzednim fejletonie, w ustępie o Demostenesie zamiast brukiew powinno być brukowce. Nic dziwnego: w wygłodzonym Wronowie człowiek czyta o brukowcach, a śni o... brukwi.

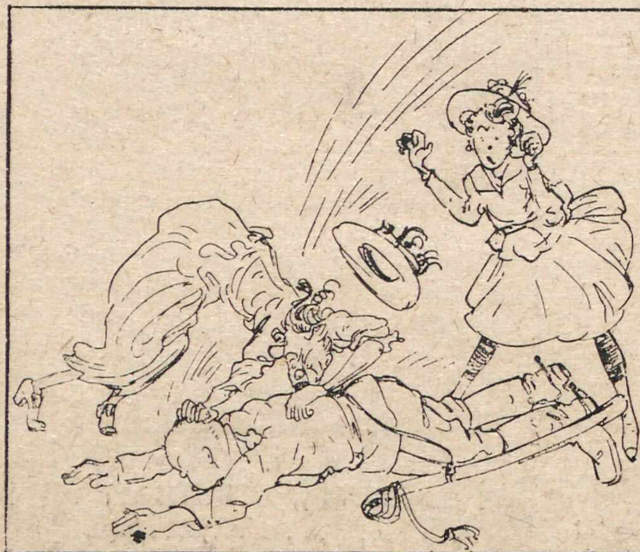
Szczęsny.

Wydawca i redaktor odpow.: Alfred Altenberg. — Kierownik literacki Stan. Wasylewski. — Kierownik artystyczny: Kaz. Grus.
Drukarnia Mieszczańska w Krakowie, ul. Batorego.

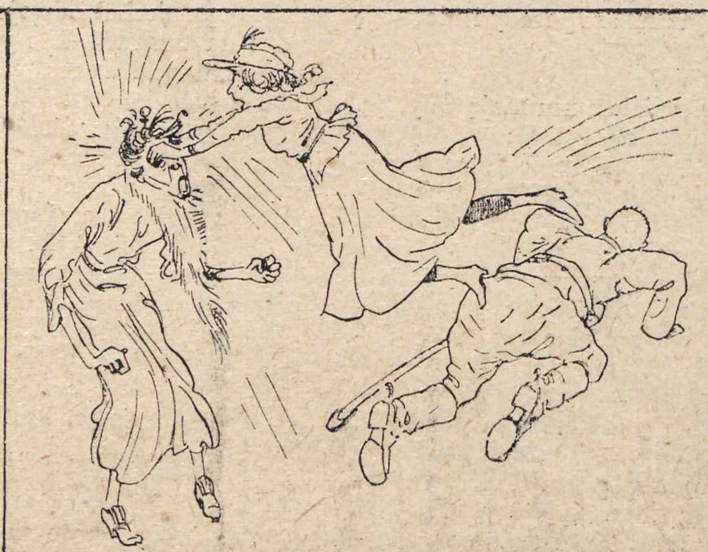
OGNIEM I MIECZEM, CZYLI PRZYGODY SZALONEGO GRZESIA — POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

ROZDZIAŁ XVIII.

Rys. K. Mackiewicz



Ty wietrzniku, ty potworze
Już ci „Szczutek“ nie pomoże!



Ale Grześ miał dość rozsądku
Więc wycofał się w porządku.



Wtedy rzekły obie damy:
Teraz my tu pogadamy.



Szczęściem, że nadeszła władza,
Która rozejm przeprowadza.



Ciocia widząc komisaryat
Krzyczy do nich: dureń, waryat.



Im zaś ptaszki zaśpiewały
Ciumaj ciumaj, kotku biały...!